

Złoty mak

Jack London



calibre 0.9.27

ZŁOTY MAK

Jack London

Mam całe pole maków. To znaczy, że dzięki łasce boskiej i życzliwości wydawców stać mnie na to, aby co miesiąc wybulić pewną ilość złotych monet na ręce sługi bożego, a zarazem właściciela majątku i w zamian za wyżej wspomniane świadczenie pieniężne uzyskać na okres dni trzydziestu część uprawnień przysługujących właścicielowi łąnu maków. Pole to złoci się na zboczu Piedmont Hills. U jego stóp leży cały świat. W dali, za srebrną taflą zatoki dymi San Francisco, które rozsiało się na pagórkach, niczym drugi Rzym. Nie opodal Mount Tamalpais sięga nieba swym najeżonym grzbietem. Wpół drogi do miasta widać Złote Wrota, ulubioną siedzibę morskich mgieł. Z naszego pola często widzimy skrzący się w promieniach słońca daleki błękit Oceanu Spokojnego i statki, które wytrwale odpływają lub mierzą do portu.

— Ileż radości przyniosą nam te maki! — powiedziała Bess.

— Tak — odparłem. — A jak ci biedacy z miasta, którzy wybiorą się do nas z wizytą, będą nam zazdrościli! Udobruchamy ich jednak odprawiając każdego z ogromnym naręczem złotego kwiecica.

— Ale te historie trzeba będzie zwalić — dodałem pokazując palcem liczne, natrętne tablice (pamiętki po naszym poprzedniku), ustawione w widocznych miejscach wzdłuż granic pola. Powtarzał się na nich jeden napis:

GRUNT PRYWATNY. PRZEJŚCIE WZBRONIONE

— Czemuż mielibyśmy bronić tym biedaczyskom z miasta spaceru przez nasze pole tylko dlatego, słowo daję, że nie mają przyjemności znać nas osobiście?

— Mam wstręt do takich tablic — zapewniała Bess. — To są aroganckie symbole władzy.

— Ublizają godności ludzkiej — dodałem.

— Plamią szlachetne piękno krajobrazu. Ohyda.

— Paskudztwo! — zawołałem z ogniem w oczach. — Precz z tym świństwem!

Czekaliśmy na maki, czekała Bess i ja czekałem, z niecierpliwością mieszkańców miasta, którym długo nie było dane oglądać rozkwitłych maków. Zapomniałem wspomnieć o domu nad makowym polem. Był to przysadzisty bungalow, rozbudowany bez ładu i składu. Zamieszkaliśmy w nim zrywając z naszą miejską przeszłością dla zdrowszego, krzepkiego życia na wsi. Gdy wśród kłosów zboża pojawiły się pierwsze maki, pomarańczowożółte i złote, chodziliśmy koło nich uradowani, jakbyśmy upili się winem, i powtarzaliśmy sobie, że maki kwitną. Pośród ciszy wybuchaliśmy ni stąd, ni zowąd śmiechem albo zawstydzeni wymykaliśmy się chyłkiem z domu, żeby spojrzeć na nasze skarby. Ale kiedy wreszcie płomienista fala kwiecica zalała pole, krzyczeliśmy na całe gardło, tańczyli, klaskali w dłonie nie tając już naszego szaleństwa.

Wówczas pojawili się Wandale. W chwili pierwszego najazdu właśnie namydliłem twarz i z brzytwą zastygłą w podniesionej ręce wyrzałem na ukochane pole. Na jego krańcu zobaczyłem dziewczynkę i chłopca z pełnymi naręczami złocistego łupu.

— Ach — pomyślałem w przystępie niezmierniej dobroci — jakże mnie cieszy ich radość! Jak słodką jest myśl, że oto dzieci skubią sobie maki na moim polu. Niechże je zrywają przez całe lato. Ale musi to być drobna dziatwa — zastrzegłem się w duchu — i niechaj zrywa sobie kwiatki tam, na dole. — Tę uwagę wywołało spojrzenie na wysokich złotych kawalerów kiwających głowami wśród pszenicy pod oknem. Potem brzytwa zniżyła się do poziomu mego oblicza. Golenie jest czynnością pochłaniającą uwagę, wyjrzałem więc przez okno dopiero po skończeniu tej operacji. Wyjrzałem i otwarłem usta ze zdziwienia. To chyba nie moje pole? A jednak moje, bo tam strzeliste sosny skupiły się w godną gromadkę, oto magnolia ugina się pod ciężarem kwiecica, a japońskie pigwy obryzgały krwią płot przy drodze. Tak, to było moje pole, ale już nie okrywała go fala ognistych maków i wysocy złoci kawalerowie nie kiwali głowami wśród pszenicy pod oknem. Porwałem marynarkę i wypadłem z domu. Daleko znikwały dwie olbrzymie kolorowe kule, pomarańczowa i złota, rzec by można — dwa chodzące maki potwornej wielkości.

— Johny — powiedziałem do mego siostrzeńca, dziewięcioletniego chłopczyka — Johny, gdyby jeszcze raz przyszły dziewczynki i chciały rwać maki na naszym polu, zejdź do nich i jak najspokojniej i najuprzejmiej powiedz, że nie wolno.

Nastaly ciepłe dni. Słońce wyczarowało z żyznego łona ziemi nową falę ognia. Córeczka sąsiadki grzecznie poprosiła w imieniu mamy, czy mogłaby zerwać parę maków, bo chciałyby przyozdobić nimi mieszkanie. Bess pozwoliła, ale ja nic o tym nie wiedziałem i gdym ujrzał malutką na środku pola, wzniosłem ręce ku niebu na podobieństwo semafora i zawołałem:

— Dziewczynko! Dziewczynko!

Dziewczątka wiało tak, że tylko nóżki widać było w powietrzu. Duma rozpierała mi pierś. Odszukałem Bess, żeby jej powiedzieć, jaki potężny mam organ głosu. Wielkoduszna Bess natychmiast ruszyła na ratunek udając się z misją pojednawczą do mamy dziewczynki. Ale do dziś dnia dziewczątka ucieka i chowa się na mój widok. Wiem, że jej matka nigdy już nie będzie wobec mnie tak serdeczna, jak by była, gdyby nie tamto.

Nadeszły chmurne dni, dęły silne, porywiste wiatry, deszcz lał jak z cebra, pogoda na dobre się popsowała. Mieszkańcy miasta schowali się w swych norach, jak szczury podczas powodzi.

Ledwie się wypogodziło, niczym szczury, które omal się nie potopiły i z trudem łapią powietrze, wypełzli na zielone stoki Piedmontu, żeby się wygrzać w słończku. Dzikie hordy wtargnęły na moje pole, wdeptywały w ziemię słodką pszenicę, chciwe łapska darły maki z korzeniami.

— Postawię tablice zabraniające przejścia — powiedziałem. — Tak — odparła Bess i westchnęła. — Nie ma innej rady. Daleko jeszcze było do wieczora, gdy Bess westchnęła po raz wtóry.

— Obawiam się, panie mój i władco, że twoje tablice na nic się zdadzą. Ludzie w ostatnich czasach zapomnieli sztuki czytania.

Wyszedłem na ganek. Nimfa miejska, w lekkiej sukience i stylowym kapeluszu ze strusimi piórami, przystanąła przed jedną ze świeżo przeze mnie postawionych tablic i w skupieniu ducha ją przeczytała. Cała jej postawa wskazywała na to, że pogrążyła się w głębokiej zadumie. Kształtów była posągowych. Ale to jej nie przeszkodziło odrzucić głowę wstecz, zadrzeć spódnicę i na czworakach przeleźć pod płotem. Gdy wstała po drugiej stronie, już w obu garściach trzymała maki. Podeszedłem drogą do niej i przemówiłem niewieście do sumienia. Poszła. A ja postawiłem więcej tablic.

Niegdyś, przed laty wzgórze te usłane były kobiercem maków. Przeciwwstawiając niszczyielskim siłom własną ochotę życia, maki utrzymywały stan równowagi między sobą a otoczeniem. Ale mieszkańcy miasta pojawili się jako nowa i straszliwa siła niszczyielska — równowaga została

obalona, maki niemal doszczętnie wyginęły. Jeśli wziąć pod uwagę, że mieszczenie rwali maki o najdłuższych łodygach i największych koronach oraz że istnieje prawo odtwarzania się gatunku, ujrzymy jak na dłoni, iż najbardziej okazałe maki przestały się siać, a na wzgórzach pozostały odmiany cherlawe i karłowate. Poza tym, że były niskie i cherlawe, skąpo porastały zbocza wzgórz. Dzień w dzień, rok po roku mieszczenie wylegali na Piedmont Hills, skutek zaś był taki, że tylko tu i ówdzie jakiś geniusz rasy przetrwał w postaci mizernego kwiatka, szybko przekwitającego, jak dziecko slumsów, które przemyka się przez krótką młodość ku przedwczesnej, przywędłej i jałowej dojrzałości.

Ale na moim polu makom doskonale się powodziło. Znalazły tu ochronę nie tylko przed barbarzyńcami, ale i przed ptactwem. Kiedyś obsiano pole pszenicą. Nie zbierana wysiewała się co roku, a w jej chłodnym cieniu ziarenka maku kryły się przed bystrymi oczkami śpiewaków bożych. Potem, pnąc się ku słońcu wśród łodyg pszenicy, maki rosły wysoko i pyszniły się jeszcze bardziej niż ich królewscy przodkowie na otwartym polu.

Mieszkańcy miasta przeto, patrząc z nagich wzgórz na moje gorejące złotym ogniem pole, doznawali okrutnej pokusy i — trzeba rzec — pokusie tej ulegali. Przykry był ich upadek, nie mniej jednak żaloszny los spotykał moje ukochane maki. Tam, gdzie zboże okrywa się rosą i wchłania słoneczny żar, ziemia jest wilgotna. Dlatego maki wyrosłe w zbożu łatwiej wyrwać z korzeniami, niż złamać łodygę. A ludzie z miasta, jak zresztą wszyscy, najchętniej idą po linii najmniejszego oporu. Z każdym więc zerwanym kwiatkiem unosili liczne, mocno zwarte pączki, a wraz z nimi możliwości rozwoju rośliny, i na zawsze niszczyli w zarodku całą przyszłą krasę kwitnących maków.

Pewien mieszcuch, jegomość w średnim wieku, o białych rękach i rozbieganych oczkach, szczególnie urozmaicił mi życie. Nazwaliśmy go „repetentem”, bo się powtarzał. Kiedy z ganku błagaliśmy go, żeby przestał, wolnym spacerkiem podążał w stronę płotu, świetnie symulując, że nic nie słyszał, tylko z własnej i nieprzymuszonej woli postanowił zakończyć przechadzkę. Aby nie było żadnych wątpliwości, tu i ówdzie, z niczym nie zmaconą swobodą, pochylił się i skubnął od niechcenia kwiatek. W ten oszukańczy sposób oszczędzał sobie wstydu człowieka wyrzuconego, a nas pozbawiał satysfakcji wypędzenia intruza, po czym znów się pojawiał, i to pojawiał się często, za każdym razem uchodząc z łupem, jaki unieść może silny mężczyzna.

Być mieszkańcem miasta nie należy do przyjemności. Tego jestem pewny. Coś musi być w miejskim trybie życia, co wywołuje stany niepokojącej ślepoty i głuchoty, a przynajmniej tak się ma rzecz z osobami, które wchodzą w moje maki. Wśród wielu osób, którym przemawiałem do sumienia, nie znalazła się ani jedna, co by dostrzegła tablice ustawione przecież w najbardziej widocznych miejscach, a z tych, na których wołałem z ganku, może jeden na pięćdziesięciu mnie słyszał. Poza tym przekonałem się, iż stosunek mieszczań do polnych kwiatów ogromnie przypomina stosunek człowieka umierającego z głodu do jedzenia. Podobnie jak głodomór nie chce zrozumieć, że z większym pożytkiem zjadłby uncję mięsa niż pięć funtów, tak ci ludzie ani rusz nie mogą pojąć, że pięćset maków stłamszonych w jednym naręczu nie umywa się do luźnego bukietu z paru okazów, kiedy to zielone listki i złote korony zdolne są zagrać całym swym urzekającym wdziękiem.

Od ludzi pozbawionych smaku bardziej godni są potępienia przekupnie. Hordy młodych gałganów plądrują moje pole i ograbiają mnie na przyszłość po to tylko, aby wystawać na rogach ulic i kupczyć kwiatkami wołając: „Do maków kalifornijskich! Za jedno pięć centów bukiet!” Mimo przedsięwziętych przeze mnie środków zapobiegawczych, niektórzy z nich wyciągali z mego pola dolara dziennie. Jedna szajka szczególnie boleśnie utkwiała mi w pamięci. Najpierw przeprowadzili rozpoznanie, czy nie ma psa — przyszli do kuchni i poprosili grzecznie o szklanek wody. Gdy pili, prosiliśmy ich, żeby nie rwali kwiatów. Kiwnęli głowami, otarli usta i poszli gęsiego tuż przy

ścianie domu. Stratowali maki pod oknami, a potem cała szóstka rozwinęła się na kształt wachlarza i haratała obu rękami tak długo, aż doszczętnie ogołociła samo serce pola. Przeszli przez pole szybciej i spustoszyli je lepiej, niż najbardziej gwałtowny cyklon. Wołałem za nimi, ale lecieli na skrzydłach wiatru ciągnąc za sobą wspaniałe, królewskie maki, połamane i okaleczone, i dźwigając olbrzymie ich sterty. Jestem przekonany, że nigdy na morzu nie popełniono brutalniejszego pirackiego gwałtu.

Raz poszedłem na ryby i właśnie wtedy pojawiła się na polu jakaś kobieta. Gdy próby i perswazje z ganku nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, Bess posłała małą dziewczynkę, która poprosiła ową niewiastę, by przestała rwać maki. Najspokojniej w świecie haratała dalej. Wtedy Bess sama poszła do niej, choć skwar był nieznośny. Baba nie przerywając swego zajęcia zakwestionowała prawo własności Bess i oświadczyła, że uzna je dopiero wtedy, gdy zostaną jej przedłożone odpowiednie akty prawne i dokumenty. Przez cały czas rwała w najlepsze nie przepuszczając ani jednemu kwiatkowi. Babsko było duże i wyglądało wojowniczo, a Bess była tylko kobietą i nie umiała walczyć na pięści. W tym stanie rzeczy najazd trwał tak długo, aż baba miała dość. Wtedy powiedziała „cześć” i majestatycznie pozęgłowała dalej.

— Ludzie rzeczywiście zrobili się niedobrzy w ciągu ostatnich paru lat — powiedziała do mnie Bess dziwnie zmęczonym głosem, gdyśmy tego wieczoru siedzieli po kolacji w bibliotece.

Nazajutrz byłem gotów zgodzić się z żoną.

— Jakaś kobieta z dziewczynką leżą prosto w maki — oznajmiła May, nasza służąca.

Wyszedłem na ganek i czekałem, aż się pokażą. Dały nura między sosny i wynurzyły się na polu. Gdy pierwsze maki poszły z korzeniami, zawołałem. Dzieliło nas jakieś sto kroków. Kobieta i dziewczynka odwróciły się i spojrzały na mnie.

— Proszę nie rwać maków — powiedziałem błagalnym tonem. Zastanowiły się chwilę. Potem kobieta powiedziała coś półgłosem do malutkiej, obie zgięły się niczym składane noże i zaczęła się rzeź. Krzyczałem, ale one nagle ogłuchły. Wrzasnąłem tak przeraźliwie, że dziewczynka zawahała się. Kobieta dalej darła maki. Słyszałem, jak po cichu dodawała ducha maleńkiej.

Przypomniała mi się syrena, której używałem, gdy trzeba było zawołać do domu małego Johny, mego siostrzeńca. Był to straszliwy instrument, gotów postawić na nogi nieboszczyka. Teraz dąłem weń z całej siły, dąłem, ale zgięte we dwoje kobiety wciąż pokazywały mi plecy i ani drgnęły. Co innego z mężczyzną, ale do walki wręcz z kobietą nigdy jakoś nie miałem wielkiej ochoty. Tym razem jednak brała mnie chęćka wziąć się do tej baby, która podzegała dziewczynkę do aktów bezprawia.

Wszedłem do bungalow i wziąłem gwintówkę. Wywijając nią na znak, że łaknę krwi, i wznosząc przeraźliwe okrzyki ruszyłem na wroga. Dziewczynka ziała z piskiem i schowała się za sosnami, ale kobieta spokojnie rwała dalej. Mnie jakby w ogóle nie widziała. A właśnie liczyłem na to, że jak mnie zobaczy, da nogę. Powstała kłopotliwa sytuacja. Ja tu szarżuję przez pole niczym rozjuszony byk i walę prosto na kobietę, a jej ani się śni zejść mi z drogi. Nie pozostało nic innego, jak zwolnić kroku i zrozumieć, że się doszczętnie ośmieszyłem. Gdy zbliżyłem się do niej na odległość dziesięciu stóp, wyprostowała się i raczyła spojrzeć na mnie. Przystanąłem i zaczerwieniłem się aż po pięty. Może istotnie ją nastraszyłem (czasem wmawiam sobie, że tak było), a może zrobiło jej się żal tego wariata. W każdym razie wymaszerowała z mojego pola z wielce godną miną, ba, pełna majestatu, dźwigając w ramionach olbrzymi złotopomarańczowy ładunek.

Niemniej od tej pory oszczędzałem płuc, ale nadal wywijiałem gwintówką. Dokonałem też świeżych uogólnień. Dopuszczając się rabunku, kobiety korzystają z przywilejów swej płci. Mężczyźni okazują więcej respektu dla cudzej własności. Ich zbrodnicze popędy nie działają tak silnie jak u kobiet. Białogłowy mniej niż mężczyźni boją się broni palnej. A jeśli zdobywamy ziemię wśród niebezpieczeństw i na polach bitewnych, dzieje się to dzięki męstwu naszych matek. My,

Anglosasi, jesteŃmy rasą rabusiów lądów i mór — cóż w tym dziwnego, skoro w niemowlęctwie ssiemy piersi kobiet tego samego pokroju co niewiasty, które plądrują moje złote łany.

A grabież nie ustawała. Syrena i wygrażanie bronią palną nic nie pomagały. Miejski ludek był mężny i nie znał trwogi. Zauważyłem, że zwyczaj „repetowania”, czyli powrotu na miejsce przestępstwa, coraz bardziej się upowszechnia. Jakież miało znaczenie, ile razy pod rząd ich się przegnało, skoro zawsze wolno im było unieść z sobą owoce przestępstwa? Kto dwakroć lub trzykroć wyprosił jedną i tę samą osobę, w tego piersi wzbierają ludobójcze żądze. A jeśli raz uprzytomnił sobie, że łakniesz ludzkiej krwi, ślepy los chwyta cię w swoje szpony i ciągnie w otchłań. Niejednokrotnie łapałem się na tym, że nieprzytomny przykładam strzelbę do ramienia i biorę na muszkę nieszczęsnych kłusowników. We śnie katrupiłem ich na przeróżne sposoby, a ścierwo wrzucałem do basenu. Z każdym dniem pokusa, żeby ich siec kulkami po nogach, stawała się coraz bardziej natrętna. Z każdym dniem wyraźniej czułem, że los mnie woła i muszę mu być posłuszny. Przed oczami wyrastała mi wizja szubienicy i ze stryczkiem na szyi patrzyłem w okrutną przyszłość moich dzieci, pogrążonych we wstydzie i hańbie. Począłem bać się samego siebie, a Bess kręciła się po domu pełna trwogi i w tajemnicy przede mną błagała naszych przyjaciół, by mnie nakłonili do wyjazdu na wywczasy. Wtedy, gdy m już się trzymał ostatkiem sił, przyszła myśl, która mnie ocaliła: A może by tak konfiskować? Jeśli najazdy przestaną przynosić łupy, stracą rację bytu i muszą się skończyć.

Po tym odkryciu pierwszy wkroczył na pole mężczyzna. Czekałem na niego. Patrzę... ach, co za radość! Był to „repetent” w swej własnej osobie, niezmiernie pewny siebie po uprzednich sukcesach. Z gwintówką niedbale zwieszoną na ręce podszedłem do faceta.

— Najmocniej pana przepraszam — zacząłem głębokim głosem — ale, widzi pan, mnie samemu te maki są potrzebne.

Patrzył na mnie; mowę mu odjęło. Widok był niewątpliwie wspaniały i na pewno dramatyczny. Stałem przed nim z gwintówką przewieszoną przez ramię, moja pełna słodyczy prośba jeszcze mi dźwięczała w uszach i czułem się jak Black Bart, Jesse James, Jack Sheppard, Robin Hood i całe pokolenia innych zbójców.

— No proszę — rzekłem nieco ostrzejszym tonem, który wydał mi się po prostu w sam raz. — Bardzo żałuję, proszę mi wierzyć, jeśli to panu nie na rękę, ale oddaj pan te maki.

Niedbale podniosłem nieco moją pukawkę i uśmiechnąłem się. To go przekonało. Bez słowa wręczył mi maki i ruszył w stronę płotu, ale nie szedł już lekkim spacerowym kroczkiem, ani się pochylał, by uszczknąć kwiatek, który po drodze wpadł mu w oko. Taki był koniec „repetenta”. Z jego oczu zmiarkowałem, że mnie nie lubi, a plecy zdały się wyrażać niemy wyrzut, gdy tak szedł przez pole, póki nie zniknął mi z oczu.

Od tego dnia bungalow tonął w powodzi maków. Pełno ich było w każdej wazie i każdym glinianym dzbanku. Płonęły ogniem na każdej półce, rozbuchały się po wszystkich pokojach. Obdarzam przyjaciół olbrzymimi pękami kwiecia, ale znów napływają poczciwi mieszkańcy miasta i zbierają dla mnie nowe bukiety.

— Posiedź jeszcze chwilę — mówię do gościa, który już chce odejść.

Siedzimy w cieniu, na ganku, a tymczasem niestrudzone miejskie istoty rwą maki i oblewają się potem w słonecznym skwarze. Kiedy już moje złote śliczności dostatecznie ciążą im w ramionach, idę na dół ze strzelbą na ramieniu i uwalniam facetów od ciężaru. W ten sposób doszedłem do przekonania, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.

Akcja konfiskaty przebiegała jak najpomyślniej. Ale jednego nie wziąłem pod uwagę: wielkiej liczebności mieszkańców miasta. Choć starzy kłusownicy nie wracali, co dzień przybywali nowi.

Stanąłem w obliczu tytanicznego zadania: nauczyć całe miasto, że wypadły na moje maki nie mają sensu. W toku rozładowywania nieproszonych gości z początku klarowałem im mój punkt widzenia, ale szybko dałem spokój. Szkoda było każdego słowa. Nie mogli zrozumieć. Pewnej damie, która pozwoliła sobie na insynuację, iż jestem kutwa, powiedziałem tak:

— Żadnej krzywdy pani dobrodziejce nie czynię. Gdybym wczoraj i przedwczoraj nie chronił maków, miejska zgraja sprzątnęłaby je i dziś pani oczęta żadnych kwiatków by tutaj nie zobaczyły. Maki, których dziś nie pozwalam pani zerwać, są kwiatami, jakich wczoraj i przedwczoraj nie dałem zniszczyć innym. A zatem, proszę mi wierzyć, nic pani nie traci.

— Ale maki są tu dzisiaj — odparła spojierając żarłocznym okiem na ich płomienną urodę.

— Zapłacę panu — rzekł pewien dżentelmen innym razem. (Właśnie uwolniłem go od ciężaru.) Doznałem nagle uczucia wstydu, sam nie wiem czemu, może dlatego, że jego słowa uprzytomniły mi fakt, iż moim kwiatkom przypisuje się wartość nie tylko estetyczną, ale i monetarną. Na myśl, że postępuję jak zwyczajny groszobór, załamałem się i odparłem niepewnym głosem:

— Nie sprzedaję maków. Może pan wziąć sobie, co pan narwał. Nie minął tydzień i znów stanąłem oko w oko z tym samym dżentelmenem.

— Zapłacę panu — powiedział.

— Dobrze. Uiszczaj pan, proszę. Dwadzieścia dolarów.

Otwarł usta, spojrział na mnie badawczo, znów otworzył usta, po czym posmutniał i bez słowa położył kwiaty na ziemi.

Ale, jak się należało spodziewać, szczyt czelności osiągnęła kobieta. Gdy odmówiłem przyjęcia zapłaty i zażądałem zwrotu zerwanych ślicznotek, postawiła się szorcem.

— Ja zerwałam te maki — oświadczyła — a mój czas też kosztuje. Zapłaci mi pan za pracę, dostanie pan kwiatki z powrotem.

Ogień buntu ogarnął jej policzki, na twarzy, nawiasem mówiąc niebrzydkiej, malowała się stanowczość i determinacja. No cóż? Należałem do dzikiego szczepu żyjącego na wzgórzach, a ona była tylko kobietą, i to z miasta. Nie pragnę w tej chwili zagłębiać się w szczegóły, ale muszę z satysfakcją stwierdzić, że owa naręcz maków uświetniła później wnętrze mego bungalow, a kobieta poszła do miasta nie otrzymawszy zapłaty za swą pracę. Bądź co bądź kwiatki były moje.

— To są boże maki — powiedziała Płomienna Młoda Zwolenniczka Radykalizmu, której demokratyczne uczucia wzburzyły się, gdy ujrzała, jak pędzę ludzi z pola.

Potem przez dwa tygodnie śmiertelnie mnie nienawidziła. Poszedłem do niej i wyjaśniłem jej wszystko jak najdokładniej. Opowiedziałem historię maków, podobnie jak Maeterlinek opowiedział o życiu pszczoł. Przedstawiłem temat w świetle biologii, psychologii i socjologii, rozpatrzyłem go z punktu widzenia etyki i estetyki. Rozgrzałem się przy tym i roznamiętniłem. Kiedym skończył, wyznała, że ją nawróciłem, ale na dnie serca czułem, że powodowała się litością.

Szukałem pociechy u przyjaciół. Opowiedziałem im jeszcze raz historię maków. Nie zauważyłem, by ich to bardzo zainteresowało. Podniecałem się coraz więcej. Byli niemile zdziwieni. Patrzyli na mnie z zaciekawieniem.

— Uchybiasz tylko własnej godności osobistej użerając się z ludźmi o maki — powiedzieli. — Naprawdę, nie wypada.

Pobiegłem do innych przyjaciół. Szukałem sprawiedliwości. Sprawa nabrała dla mnie zasadniczego znaczenia, postanowiłem za wszelką cenę dowieść, że przecież mam rację. Czułem potrzebę wytłumaczenia się, choć dobrze wiedziałem, że kto się tłumaczy, ten leży. Jeszcze raz opowiedziałem historię maków od początku do końca. Wdałem się w najdrobniejsze szczegóły. Uzupełniłem luki, całość znacznie rozwinąłem. Mówiłem tak długo, aż ochrypłem. Gdy wyczerpany

umilkłem, mieli znudzone miny. Potem mówili jakieś banały, starali się mnie pocieszyć, poruszali przeróżne tematy i pletli trzy po trzy. Gniew mnie ogarnął i zerwałem z nimi raz na zawsze.

Teraz czyham w domu na przygodnych gości. Zręcznie zagajam rozmowę na temat maków. Przez cały czas pilnie obserwuję ich twarze, a gdy dostrzegę pierwsze oznaki opozycji, wylewam im na głowy cały, długo gromadzony zapas gniewu. Godzinami kłócę się z każdym, kto nie chce mi przyznać racji. Upodobniłem się do owego starca z opowiadania Guy de Maupassanta, który znalazł kawałek sznurka. Bez ustanku wyjaśniam — nikt nie chce mnie zrozumieć. Z miejskimi rabusiami zacząłem obchodzić się brutalniej niż dotąd. Już nie sprawia mi przyjemności odbieranie im łupów. To ciężka praca, wyczerpujące i obrzydliwe zajęcie. Przyjaciele patrzą na mnie spode łba i z politowaniem coś tam mruczą pod nosem, gdy się spotykamy w mieście. Rzadko teraz mnie odwiedzają. Boją się. Jestem zgorzknia-blask uciekł z niego, aby jaśnieć na polu złotych maków. blask uciekł z niego, aby jaśnieć na polu złotych maków.

Oto cena pewnych rzeczy.

Przygotowano na podstawie bookini.pl